



Miłość

*przyjdzie
poczta*



AGNIESZKA
JEŻ

FILIA

AGNIESZKA
JEŻ

Miłość
*przyjdzie
pocztą*

FILIA

Prolog

*O tym, że droga może prowadzić od gazety do pomarańczy.
I nie wiadomo, co będzie czekało za zakrętem.*

„Magia jest w zasięgu ręki”.

Hannie przypomniało się zdanie z artykułu, który przeczytała wczoraj w salonie fryzjerskim, czekając na swoją kolejkę. Gazeta była z tych lżejszych, kobiecych, co znaczyło, że w środku moda (*Jak się ubierać, żeby wyglądać młodziej*), uroda (*Jak się malować, by wyglądać młodziej*), kulinaria (*Co jeść, by wyglądać młodziej*). Generalnie każde kobiece działanie miało mieć jeden cel – utrzymanie lub przywrócenie młodego wyglądu, a to po to, by wciąż – i z powodzeniem! – istnieć na rynku. Rynku matrymonialnym, związkowym, partnerskim, damsko-męskim. Z męskich gazet dostępna była tylko motoryzacyjna, którą Hanna nawet przekartkowała, ale tam nie było żadnych rad co do wyglądu – tuning obejmował wyłącznie samochody, a nie ich właściciele. Na stoliku leżało jeszcze jakieś czasopismo ze słowem „mężczyzna” w tytule, gdzie były co prawda różne

wskazówki życiowe, ale dotyczyły one wyboru win, zegarków i perfum, czyli tego, co miało sprawić, by czytelnikom czas upływał jeszcze milej. Także dzięki temu, co polecano czytelniczkom w babskiej prasie, bo przecież ta młodość i szczupłość, to całe zewnątrz były nie dla samych kobiet, a dla tych, co będą je oglądać i dotykać, czyli mężczyzn.

Hanna nie dziwiła się temu specjalnie, w końcu ponad czterdzieści lat przebywania na tym świecie wiele ją nauczyło, ale odczuła pewien... Niesmak? Smutek? Złość? Rozczarowanie?

Może troszeczkę każdej z tych emocji, ale to było coś innego.

To był grudzień.

Dokładnie – pierwszy dzień grudnia. To znaczy wczoraj tkwiła jeszcze w listopadzie, dziś jednak następowała zmiana. Namacalna, ponieważ Hanna przełożyła kartkę w kalendarzu, który wisiał na ścianie, i teraz zamiast ozdobionych czerwonymi i brązowymi liśćmi, skąpanych w słońcu drzew oglądała bielutkie pagórki pokryte śniegiem, na którym blaskiem brylantów odbijały się promienie słoneczne.

„Magia jest w zasięgu ręki”. Ten wczorajszy artykuł dotyczył tego, że każdy okazuje się kowalem swego losu. Właściwie kowalką, bo bohaterką opowieści była kobieta, która nie lubiła swojego życia. A nie lubiła dlatego, że dokuczała jej samotność. Pewnego dnia obudziła się jednak z nagłą myślą, że przecież może zmienić ten samotniczy stan – musi tylko wyjść do ludzi. Dosłownie, to

znaczy zacząć się umawiać z koleżankami, na przykład na kije, wybierać na spacer do parku i tam nawiązywać znajomości, zapisać na zajęcia, przykładowo uniwersytetu trzeciego wieku, lub przygarnąć psa i zabrać go na szkolenie. Słowem – stworzyć okazję do opuszczania mieszkania i poznawania nowych osób. Bardzo dobrze, jeśli płci męskiej. Tak się stało i już niebawem na horyzoncie, to znaczy na przystanku autobusowym, gdzie ogłoszono zbiórkę miłośników i miłośniczek pieszych wędrówek, zjawił się on. A potem to już poszło!... Najpierw nad Prosnę, bo taki był kierunek PTTK-owskiej wyprawy, a później... „Bo magia jest w zasięgu ręki”, ucieszyła się na końcu artykułu narratorka, dając do zrozumienia, że dalsze losy tej pary to wędrówka przez opromienioną słońcem dolinę ku wspólnemu szczęściu, co szczególnie ważne w przedświątecznym czasie.

Tymczasem zwyczajne życie tak nie wyglądało. Hanna dokonała co prawda aktu magii i listopad przemieniła w grudzień, ale zmiana wystąpiła tylko na kredowym papierze, na którym wydrukowano kalendarz. Może trochę tego białego blasku spłynęło na pokój, ale poza tym – bez zmian. Krajobraz za oknem nadal był tą samą jesienną smutą – nagie gałęzie drzew uginały się pod naporem wiatru, który niósł ze sobą kropelki ni to deszczu, ni to mżawki. Wilgotno, ponuro, buro. I tak od kilku dni, bez nadziei na szybką zmianę pogody.

W mieszkaniu Hanny było zdecydowanie ładniej i pogodniej, ale przecież, w myśl sugestii płynącej z tekstu, trzeba iść w świat.

Hanna wychodziła, tyle że...

Przeprowadzka do Sulejówka miała być poważną zmianą w jej życiu. Poważną w sensie doniosłości tej decyzji, a nie że będzie jak na akademii ku czci – powściągliwie i bez radości.

Tymczasem jej codzienność nie rozbłysła feerią barw i nie stała się pasmem sukcesów. Stare problemy zostały zastąpione przez nowe – to była zasadnicza zmiana.

Najistotniejszy powód decyzji o wyprowadzce stanowiło pragnienie nowego życia. Przede wszystkim – zawodowego, choć nie tylko. Do wiosny Hanna pracowała jako bibliotekarka szkolna w podstawówce na warszawskim Ursynowie. Całkiem lubiła tę pracę, bo przecież lubiła książki i dzieci. Gdyby jednak ktoś zapytał ją na studiach: „W jakim miejscu widzi pani siebie za dwadzieścia lat?”, nie odpowiedziałaby, że przy starej ławce szkolnej przerobionej na biurko biblioteczne, z widokiem na ścianę z tablicą korkową, do której przyczepiła recenzje *O psie, który jeździł koleją*, bo starsze dzieci już nie miały ochoty brać udziału w konkursach i nawet nie udawały, że czytają wypożyczone lektury – nie przychodziły po nie, wystarczały im streszczenia w brykach. Zatem jej życie potoczyło się nie tak, jak je zaplanowała. Choć właściwie to nie planowała życia – najpierw szła za sugestiami innych, a potem to już decydowała siłą rozpędu. Hanna zgodziła się na taki los, mimo że była całkiem kumata z fizyki i wiedziała, że gdy ciało, znaczy ona, zbyt szybko się rozpędzi i natrafi na jakiś zakręt, to siła odśrodkowa może je wyrzucić gdzieś het, het!

„Siła odśrodkowa jest rodzajem siły bezwładności i powodowana jest ruchem układu odniesienia”. Właśnie! Wszystko się zgadzało – ona, Hanna, była dość bezwładna, poruszał ją układ – najpierw mama, a później zmiany ustrojowe i ogólnoświatowe wydarzenia. Było tak: przed maturą mama zapytała, gdzie ostatecznie Hanna wybiera się na studia. Hanna lubiła czytać, lubiła przyrodę i nawet przedmioty ścisłe, ale gdy próbowała przekuć te zainteresowania w kierunku studiów, nie szło tak łatwo – to znaczy nie szło łatwo z mamą. „Leśnictwo? To dla facetów, Hanuś. Ale ich nie ma w lasach tak dużo, żebyś tam poznała kogoś odpowiedniego. Ja się po prostu martwię, że będziesz samotna”. „Biologia? No nie wiem, to taki półlekarz albo raczej półweterynarz. Co się po tym robi?” „Polonistyka? A co to, jeszcze się dobrze języka ojczystego nie nauczyłaś? Tyle czytasz, tak ładnie piszesz...” „Filologia? O, to już lepiej. Obca, więc faktycznie jest się w czym szkolić. Ale dobrze już mieć solidne podstawy, więc może wybierz rosyjską”. Nie, mama nie była opresyjna, nie przymuszała. To raczej Hanna dawała się prowadzić.

Filologia. W sumie... Wahała się, ale prawda – lubiła język rosyjski – taka ładna melodyka, takie duszeczki-patielnyje powieści. Rosyjski poznała w podstawówce, w liceum niby mogła chcieć lekcji języka francuskiego, ale: „Skoro już znasz trochę ten, to po co zmieniać? Zresztą Rosja taki duży kraj, sąsiad, od nas na Wschód nie tak daleko”. Z perspektywy Łomży brzmiało przekonująco. A potem...

Siła odśrodkowa najpierw rzuciła Hannę do pracy w liceum. Owszem, w Warszawie, dzięki pieniądзом za sprzedaż mieszkania po dziadkach, czy to jednak była praca marzeń? Nie była, ale to w końcu stabilna budżetówka, więcej wakacji, od czegoś trzeba zacząć. Tyle że całkiem szybko się skończyło, bo popyt na rusycystów topniał, szkoły oferowały naukę języków zachodnich, a wiadomo – każdy by wolał jechać na Zachód niż na Wschód. A jeszcze później Wschód przybliżył się do Polski, atakując Ukrainę, to jednak było wtedy, gdy Hanna już od kilku lat pracowała w bibliotece.

Zawsze sumiennie wykonywała swoją pracę, nie odstawiała żadnej fuszerki, ale przecież te zajęcia nie wciągały jej tak mocno jak odkurzacz z nowo założonym workiem kocią sierść z dywanu. Jakież więc było jej zdumienie, kiedy się zorientowała, że stuknęła jej czterdziestka. Kolejne lata płynęły jeszcze szybciej i w ogóle czas przyspieszył – takie odnosiła wrażenie. Kiedy i na czym upłynęły te ponad dwie dekady od momentu skończenia studiów?...

Zrobiła bilans i wyszło jej... Nie najlepiej. Stan posiadania: małe mieszkanie na dużym osiedlu – plus. Brak kredytu – plus. Zdrowie – plus. Kilka dobrych znajomych – plus. Mama – plus, wielki plus. Z minusów: brak pasji, brak spełnienia, brak faceta.

Choć nie do końca – bardzo lubiła rośliny, domowe i zewnętrzne, w bukietach świeżych i suszkach. „Plastykowała”, czyli robiła różne ładne rzeczy do domu, i do-

brze jej to wychodziło. Tyle że to wszystko było hobby – obok prawdziwego życia.

Facet. Tu akurat bez niuansów – długi minus. Była sama. Nie przez cały czas, no skąd, przecież nie miała jakichś wyjątkowych problemów z relacjami – przez jej pralkę przewinęły się różne męskie skarpety, ale nie było to nic na stałe. No dobrze, na stałe to są podatki; nie były to związki na długo. Dzieliła z różnymi mężczyznami łóżko i stół, ale mimo ich fizycznej obecności odczuwała braki – takie, o których myśli przychodzą w nocy i wybudzają ze snu. Dopadają podczas jazdy metrem. Ścisną za gardło, gdy na ulicy widzi się parę bardzo zżytych ze sobą staruszków. Brak prawdziwej więzi, relacji na dobre i złe. Brak tego, o co wszystkim nam chodzi – prawdziwej miłości. I choć знаła ją tylko z teorii, świetnie przeczuwała, co nią nie jest. Otóż nie było nią to, co los jej oferował. Dlaczego się tak stało? Może dlatego, że przegapiła odpowiedni czas na związek? W liceum się przede wszystkim uczyła, choć mając takie piękne i tak mocno pachniały bzy. Wtedy się najlepiej całuje, wtedy wszystko jest takie pierwsze i takie prawdziwe. Na studiach też się uczyła, a do tego pracowała, bo życie w stolicy było fascynujące, ale też drogie. No a później to już nie było okazji, a na pewno nie takich dobrych. Ludzie się zmieniają, dorastanie tłumy w nich ufność i otwartość. Niby najbardziej liczy się uczucie i ono przecież zawsze jest poszukiwane, ale przed nie wpychają się: kalkulowanie zysków i strat bycia w związku, egoizm, wygodnictwo, wahania, nawyki,

uzależnienia. Hanna próbowała miłości, zawsze jednak czuła, że to nie jest to, co by być mogło.

Zakładając, że mogłoby być. Życie ruguje ze złudzeń, ale ona przecież pamiętała dwa zauroczenia z młodych lat – Bartka i Marka. Pierwszego poznała w szkole średniej, drugiego – na uczelni. Nie dała szansy tym miłościom, rozmieniła je na drobne, pozwoliła im ulecieć. Wyjechała na studia, a Bartek został w Łomży. Potem zaś nie chciała wyjeżdżać z Warszawy do Rzeszowa, za Markiem. Świat czeka, myślała. I miłość na pewno też. Taka idealna, dopasowana do niej.

Cóż, świat czekał, ale raczej w roli biernego obserwatora, a nie otwartego kramu z miłościami do wyboru, na które by dawał dożywotnią gwarancję.

Nie była niewolnicą myśli, że kobieta bez mężczyzny nic nie znaczy, ale równie daleko było jej do stwierdzenia, że kobieta bez mężczyzny jest jak ryba bez roweru.

Po prostu – człowiek, znaczy kobieta, znaczy ona – chciałby mieć obok kogoś kochanego, zaufanego, z kim nawet szare dni miałyby jakiś pogodniejszy kolor. Mieć kogoś do porannej kawy i popołudniowej herbaty. Na długie weekendy i jeszcze dłuższe wakacje. Na czas zdrowia i choroby. By się przytulić i kochać. Kiedyś jeszcze myślała o dziecku, ale to już była przeszłość.

W ostatnie urodziny przyszło jej do głowy, że to ostatni dzwonek na odmianę losu. Że musi coś zmienić – sama, własną decyzją i czynem, i może wtedy pozna kogoś, z kim będzie jej naprawdę dobrze. Dokładnie tak, jak w tym artykule.

Po kilku dniach namysłów w stylu „chciałabym, ale się boję” doszła do paru wniosków. Nie wszystkie jej się spodobały, cóż jednak poradzić, skoro były prawdziwe.

Najistotniejszy i ten, przed którym najmocniej się broniła, dotyczył tego, że może, może (zostawiała sobie możliwość wątpienia i ewentualnego wycofania się z tego sądu) za rzadko sama decydowała o swoim życiu. Że te różne siły mogły na nią działać, bo jej samej brakowało siły wewnętrznej.

Uwierzyła jednak – i tu już bez wahania – że siła jej marzeń obróci koło zdarzeń. Teraz myślała o tym z leciutkim wstydem. Poczwała go, czytając wczoraj tę gazetową historię. Przecież wiedziała, że bohaterka artykułu jest wymyślona, że to żadna opowieść z życia, po prostu tekst, który wpisuje się w potrzebę chwili, czyli w przedświąteczne marzenia o cudach. No ale ona marzyła w końcówce zimy, nie pod wpływem chwili napędzanej świątecznym marketingiem. Był przykry luty, starszy brat listopada, ona zaś podjęła decyzję, że sprzeda mieszkanie na Ursynowie i kupi coś tańszego, a za różnicę w cenie założy firmę i będzie robiła to, co lubi i umie – wtedy jej szczęście przyciągnie jeszcze więcej innego szczęścia, bo tak to działa. Plan idealny, cóż mogło pójść nie tak?

Żyła w małym mieszkaniu, więc zmiana na skromniejszy metraż nie dawała zbytnej nadwyżki finansowej, bo im mniejszy lokal, tym większa cena za metr. Trzeba zatem było szukać czegoś na obrzeżach, ale przecież Ursynów to nie było centrum stolicy. Padło na miejsco-

wości podwarszawskie. Zaczęła od kierunku wschodniego, bo tu Warszawa „kończyła się” najszybciej, więc odległość od centrum była najmniejsza. Sulejówek. Jaka ładna nazwa. I to przecież miasto Marszałka. Zielone miasto, jak przeczytała na jednym z przystanków autobusowych, opodal osiedla, na którym znajdowało się mieszkanie na sprzedaż. Osiedle ładne, całkiem, całkiem. Budowane w czasach, gdy nie wykorzystywano każdego centymetra kwadratowego, żeby postawić jak najwięcej bloków. Wojskowe, ale to już przeszłość, podobnie jak złoty czas budynków i obiektów, które dawniej stanowiły serce tego terenu – kasyna i basenu. Szarzały i niszczały, dokoła jednak było dużo zieleni. Można tu było złapać oddech, zwłaszcza że blisko piękny las i ogródki działkowe. Las co prawda był na terenie dawnego poligonu carskiego i teraz też go anektowało wojsko, ale podobno te tabliczki zakazu wejścia to tylko pro forma, jak zapewniła agentka z biura nieruchomości. Dodatkowym – ogromnym – plusem było to, że na głównej ulicy miasteczka (fakt, już nie tak ładnej i w ogóle niekojarzącej się z zielenią czy Piłsudskim) oferowano lokal do wynajęcia.

Czy można było nie iść w to jak w dym?

Pewnie tak, ale ona poszła. Nawet dosłownie, bo oględziny przypadły na dni na plusie, a prawdziwe życie, już po podpisaniu dokumentów, na czas, gdy ściał mróz i do pieców trafiło to, co ludzie mieli pod ręką. Piekły ją oczy, szczypało w gardle, aż jej łzy pociekły.

A może to było nie od smogu, a ze strachu, że jednak nie wybrała najlepiej? Albo nawet całkiem źle? Że trzeba było się trzymać tego, co znane i pewne, i że tak się kończy chojrakowanie. „Chojrakujesz”, powiedziała mama, od urodzenia mieszkająca w Łomży, a od pół wieku w tym samym mieszkaniu. Mama, która całe zawodowe życie przepracowała w sekretariacie spółdzielni mieszkaniowej „Świt”. Życie prywatne zaś spędziła u boku jednego i tego samego mężczyzny – ojca Hanny.

Ostatecznie jednak nadeszła wiosna, zieleń przykryła brzydotę, pyły PM 10 i PM 2,5 odfrunęły, a Hanna się urządziła w swoim mieszkanku na parterze i otworzyła sklep. „Dziewanna. Ładne rzeczy”. Na pieczętce wyglądało jeszcze ładniej niż na szyldzie, bo było tam jej imię i nazwisko – Hanna Dziewańska.

Na półkach z bielonej sosny poukładała własnoręcznie robione ozdoby i takie, które udało się jej wyszukać w czasie wyjazdów do mamy. Ludzie bez sentymentów pozbywali się przedmiotów po dziadkach, ona zaś z czułością je czyściła i odnawiała. Oprócz tego miała w ofercie kwiaty doniczkowe i sezonowo – cięte, a także usługę przygotowywania bukietów i wiązanek, choć to niejako obok.

Wystartowała drugiego maja. Mogła poczekać do czwartego, no bo wolne, wiadomo, że dużo osób wyjeżdża, ale już chciała poczuć ten dreszcz emocji bycia na swoim. Włożyła najładniejszą sukienkę w pięknym lawendowym kolorze, podkreślającym barwę jej zielonych oczu, fantazyjnie upięła brązowe włosy, zrobiła

delikatny makijaż i użyła ulubionych perfum pachnących nieokiełznaną, dziką dżunglą. I jeszcze przed wyjściem z domu pogłaskała po trąbie słonika z zakrętki od flakonika – na szczęście.

Nie sądziła, że tak szybko ktoś przyjdzie, przecież to był pierwszy dzień pracy Dziewanny. Jeszcze przeglądała papiery i była nimi tak zaaferowana (oraz przestraszona – nie przypuszczała, że trzeba mieć tak mężne i waleczne serce, by w kraju nad Wisłą prowadzić działalność gospodarczą), że dopiero gdy usłyszała „dzień dobry”, podniosła głowę. Kobieta, chyba nieśmiała, bo patrzyła w podłogę.

– Chciałabym zamówić kwiaty.

Cudownie, to dobry znak, pomyślała, no i przecież miała zdolności florystyczne, potrafiła wyczarować piękne bukiety, a maj oferował taki wybór zapachów i kolorów.

– Oczywiście. Ma pani jakieś szczególne życzenia? Na jaką to okazję?

W głowie już komponowała konwalie z fiołkami albo róże z goździkami, a może margaretki i alstromerię?

– Na grób. Wiązanka na grób.

Uśmiech spełził jej z twarzy. Pierwsze zamówienie, pierwsza klientka. Zła wróżba, a poza tym ona nie potrafiła pracować ze smutnym człowiekiem. W ogóle nie wzięła pod uwagę takiej możliwości, by robić bukiety pożegnalne. Tak ostatecznie pożegnalne.

– Taak. Tak, oczywiście. Na kiedy?

Kobieta podała datę za trzy dni. Hanna pokiwała głową i zapewniła ją, że wiązanka będzie czekała. Nie po-

prosiła o zaliczkę i nie zapytała o żadne szczegóły. Kobieta odwróciła się jeszcze w drzwiach i poprosiła cicho:

– Niech będzie ładna, dobrze?

– Dobrze – odparła Hanna, nie podnosząc wzroku znad papierów.

Wzdrygnęła się. Dlaczego właśnie teraz jej się to przypomniało? Pierwszego grudnia? Sklep jakoś dawał sobie radę, choć miała śmielsze marzenia. Co do poznania jakiegoś miłego faceta, tu też pozwalała na początku wyobraźni brykać, ale teraz jej imaginacja raczej powłóczyła nogami.

Spojrzała na zegar – było wpół do dziesiątej, czas, by wyruszyć do pracy.

Poszła do przedpokoju, wciągnęła na stopy kozaki – ładne, skórzane, na delikatnym obcasie, zielone. Nie chodziła w czarnych butach, nie miała nic czarnego. Może i praktyczne, ale też trumienne, a ona przecież była optymistką – wciąż i pomimo. Zdjęła z wieszaka płaszcz; brązowa wełna miło ją otuliła. Do tego własnoręcznie wydziergane czapka, rękawiczki i szalik. Spojrzała w lustro. Wyglądała ładnie. Różnokolorowa włóczka w barwach cieplej jesieni podbijała jej urodę.

– No i co z tego, skoro nikt tego nie docenia? – rzuciła odbiciu w lustrze.

Odbicie smutno pokiwało głową.

Cóż, ten dzień nie zaczął się dobrze. Nie była przesadna, ale bardzo lubiła te drobne, naprawdę drobne gesty losu, które mogła interpretować jako uśmiech w jej stronę. Na przykład autobus, którego kierowca chwilę

na nią poczekał, ostatnia babeczka w cukierni – jakby była właśnie dla niej, nagle przejaśnienie w dniu pełnym chmur.

– No, losie – wyszeptała do siebie, przekręcając zamek w drzwiach. – Dawaj coś. Choćby drobiazg.

Nacisnęła klamkę i już miała zrobić krok przez próg, kiedy zobaczyła, że na wycieraczce leży...

Pomarańcza. Idealnie kulista, spora, obwiązana czerwoną wstążką pomarańcza.

Rozdział 1

*Najlepsza definicja człowieka: istota, która do wszystkiego się
przyzwyczaja.*

Fiodor Dostojewski

Ale czy przyzwyczajenie jest dobre?

Czy to możliwe, żeby tak pamiętać, choć widziało się kogoś tylko przez chwilę?

Nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. Na wiele innych, dużo bardziej skomplikowanych – tak, a na takie, które dotyczyły prostych spraw – nie.

Skończył studia, doktoryzował się – z sukcesem. Był naprawdę dobrze wykształcony, tyle że – tak go czasem nachodziło – ta wiedza nie zawsze przekładała się na codzienność. Właściwie to rzadko się przekładała. Niektórzy wybierali zawody mocno związane z życiem, innymi ludźmi, wymagające śledzenia współczesności. Jego praca była inna.

Dziś czuł się zagubiony. Zestresowany. Niepewny. Chciałby i się bał. Ależ to było kobiece! Nie, nie było, to nieprawda, że niepewność jest domeną kobiet,

MAGIA JEST W ZASIĘGU RĘKI!

Hanna mieszka w Sulejówku i prowadzi sklep-kwiaciarnię „Dziewanna. Ładne rzeczy”. Jest całkiem zwyczajną kobietą, która pragnie tego samego, co wszyscy – chce być szczęśliwa. Kiedy przewraca przedostatnią kartkę w kalendarzu ściennym, te pragnienia się wzmagają – tak działa urok grudnia i nadchodzących świąt. Jednak nie u wszystkich siła marzeń potrafi zakręcić kołem zdarzeń. U Hanny – tak. Najpierw znajduje pod drzwiami piękną pomarańczę obwiązaną czerwoną wstążką. Potem – pudełko z czekoladkami. Szlachetny kamyk. Tomik poezji. Aż wreszcie dostaje zamówienie na „najczulszy bukiet na świecie”, który ma dostarczyć... pod swój adres. Próbuje ustalić, kto stara się trafić do jej serca. Zagląda w przeszłość, by tam znaleźć odpowiedź, usiłuje przewidzieć przyszłość. Bez efektu. Dodatkowo w bloku, w którym mieszka, zaczynają się dziać dziwne rzeczy... W kolorowej gazecie czyta: „Magia jest w zasięgu ręki”. Czego potrzeba, by jej dotknąć? Czy Hannie się to uda? A może do rozwiązania zagadki wcale nie potrzeba magii?

Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIA

cena 47,90 zł

ISBN 978-83-8357-037-2



9 788383 570372